

Kruk zakrakał

autorstwa Sylwii Zapaśnik

Nie byłem gotowy.

Zdrapali mnie z asfaltu i wrzucili na pakę. Żółć wymieszana z rakiją wystrzeliła z gęby jak z hydrantu. *Trzeba było króla nie dotykać*, pomyślałem, padając prosto w dzieło malarstwa abstrakcyjnego.

- Otwierać, da piczki materi... – wypchnąłem z przepony, ale ciemnica okazała się silniejsza.

Padłem.

Podłoga busa w jednej chwili zamieniła się w zimną posadzkę. Tym razem kopnął mnie nie lada zaszczyt. Cella typu deluxe z jednoosobową pryczą. Żal trzeźwieć w takich warunkach.

Klucz zahłasował w zamku i ktoś wszedł do środka. Pastowane buty osłonięte spodniami w kancik zatrzymały się przed twarzą, a zaraz za nimi trzasnęły drzwi.

- Wstań – powiedział znajomy głos.

Odmówiłem, rycząc jak ranny łось.

- Dostaniesz flaszkę i sudana.

Wobec takiej zachęty przejść obojętnie nie wypadało. Wciągnąłem się na pryczę. Bez zbędnej zwłoki wyszarpnąłem podarki i pociągnąłem krystalicznego płynu. *Destylarnia Šimić*. Zaraz za tym przy mojej gębie zmaterializował się papieros. Lodowiec odpalił zapalniczkę, skorzystałem więc i z tejże uprzejmości.

- Fatalnie wyglądasz. Przykro patrzeć jak znakomity żołnierz tonie we własnych rzygach.

- Mów lepiej, z czego wynika ta troska, szefie. Myślałem, że się dogadaliśmy – objaśniłem, pociągawszy dym.

- Nikt cię nie szuka. Dla organizacji jesteś martwy. Przychodzę... prosić o pomoc.

- Strzepnąłem popiół na posadzkę. Kolejna szklanka chorwackiej berbeluchy przełała się przez przełyk. Nie będę przecież słuchał tego na trzeźwo.

- No to? – popędzałem dłonią.

Lodowiec rozejrzał się po celi, zajrzał pod pryczę i sprawdził, czy nikt nie stoi za drzwiami. Na koniec inspekcji wyjął z kieszeni mały zagłuszacz sygnału, który spoczął między nami.

- Ktoś z Midgaardu dotarł na Ziemię.

Na te słowa momentalnie wytrzeźwiałem. Choć w głębi duszy wiedziałem, że to niemożliwe euforyczna pułapka ścisnęła mnie za gardło. Patrzyłem mu w oczy, patrzyłem wnikliwie i długo, próbując zdemaskować jeden koślawy tik. Lodowiec jednak nie kłamał, a przynajmniej głęboko wierzył w to, co plecie.

Zgasilem peta pod butem.

- Kto?

- Dziewczyna. Trzymamy ją pod kluczem w laboratorium.

Przełknąłem ślinę i pociągnąłem trunku jeszcze raz, zupełnie jakby miało to zresetować mózg do ustawień fabrycznych.

- Mamy też jej statek. Z nikim nie chce rozmawiać. Rzuca niezrozumiałe bluzgi i w kółko powtarza twoje imię. Chcemy tylko żebyś z nią pogadał.

- Co będę z tego miał?

- Odblokuję twoje konta. Dostaniesz dom i nową tożsamość. Może nawet polecisz w kolejną misję. Gratyfikacja jest do dogadania.

Roześmiałem się pod nosem. Nie wpłynęło to w żaden sposób na determinację Lodowca. Hipnotyzował tym swoim dobrodusznym wzrokiem podstarzałego profesora, czym skutecznie zbijał mnie z tropu. Przez ostatnie lata stałem się człowiekiem, który nie pragnie, który chwytą pieprzony dzień. Żyje w zgodzie z naturą i wbrew technologii. Nie przeżywa życia w wirtualnej rzeczywistości, a zamiast cyberćpania preferuje zalewanie mordy wodą. Ot, najzwyklejszy w świecie piewca tradycji.

- Symbionty już nie działają, mylę się? Magia się wymyśliła i z żalu zacząłeś chlać.

I tu mnie miał.

Potarłem szczecinę na brodzie.

- Jaką mam gwarancję, że nie skończę w plasterkach?

Lodowiec westchnął i zebrał się z miejsca.

- Trzymaj się, żołnierzu. Dobrze było cię spotkać.

Chwyciłem go za rękaw. Woda chwyciła go za rękaw. Kiedyś miałem Dzwoneczka. Teraz prowadził mnie byt czysto spirytystyczny.

- Gdzie ci tak spieszno, szefie – zapytałem, czując jak pod grdykę zmierza nerwowy belt.

Zwymiotowałem na pastowane buty.

- Zgadza się – podsumowałem.

Ogolili mnie, umyli i wypachnili. Dwie godziny później zjeżdżałem już windą w podziemia zlokalizowane w dawnym Glatzu, zwanym teraz Kłodzko. To jedna z tych miejscin na południu, o którą nikt nie pyta, a sam diabeł przestał się upominać.

Dźwig stanął.

Lodowiec poprowadził mnie przez trzy pary zbrojonych drzwi, otwieranych za pomocą kombinacji odcisku palca i skanu soczewki. W końcu stanęliśmy przed włazem, przywodzącym na myśl wejście do sejfu bankowego, na którym wysprejowano koniczynkę.

- O dziewczynie wie tylko załoga laboratorium i my. Wejdź w interakcję i dowiedz się czego szuka na Ziemi.

- Ma się rozumieć, szefie.

Właz ustąpił po kilku zaprogramowanych wygibasach. Ciepłe, podziemne światła zastąpiła sterylna biel. Wkroczyłem do środka pewnym, lekko pospiesznym krokiem. Wymrugiwałem oczy byle szybciej przyzwycząić źrenice do przesadnej jasności.

Na widok dziewczyny zakłuło mnie w mostku.

Siedziała skulona pod ścianą i łypała spod burzy kasztanowo-rudych loków. Deirdre z Derry przeleciała dla mnie kosmos. Miała jej usta, a gdy wstała i ruszyła w moim kierunku, okazało się, że ma też i biodra.

To niemożliwe.

Oparła dłonie o oddzielającą nas szybę i złożyła na niej krwistoczerwony pocałunek. Ktoś robi sobie ze mnie żarty – pomyślałem.

- Kim jesteś i czego szukasz na tej planecie? – zapytałem w języku ludzi Wybrzeża.

Nie pojmowała co mówię. Tak mi się zdawało dopóki nie wskazała głową na Lodowca.

- Wyjdź, szefie. Załatwimy to szybciej w cztery oczy.

Stawka była sensowna dlatego Lodowiec ochoczo wymeldował się z pomieszczenia, nie zapominając przy tym o zaryglowaniu włazu.

- Fjollssfinn zasyła pozdrowienia dla Vuko Ulf Nitj'sefni – wypaliła niespodziewanie.

Zszokowany przylgnąłem do szkła.

- Fjollssfinn żyje?! Przybywasz z Midgaardu?!

Dziewczyna potaknęła i uśmiechnęła się uroczo. Kontynuowała w języku ludzi Wybrzeża, ale albo nie była w nim biegła, albo mój umysł stępił się już, odwykły od pozaziemskich dialektów.

- Zapraszać z powrotem. Olaf czeka za pomoc Wędrowca. Lecimy? – zachęcała.

- Coś mu grozi?

- Grozi, grozi. Lecieć trzeba. Najpierw on, a potem niebieski glob. Tak, Ulf, to będzie tak szło. - Przyjadą i zniszczą. Lecimy?

Pierwszy raz od lat oblał mnie zimny pot. Grdyka skakała w górę i dół. Wieść, że da się tam wrócić, podziałała ożywczo na skacowany czerep. Byłem gotów. Po raz pierwszy od pięciu lat wiedziałem, co należy teraz czynić.

Zawołałem Lodowca.

Przedstawiłem, jak się mają sprawy. Ubrałem całość w nieco barwniejsze słowa. Fjollssfinn czeka na ratunek. Ostatnie ogniwo tajnej ekspedycji żyje i pragnie wrócić do domu. Misja ratunkowa dwa zero. Sukces murowany.

Skurwiel się nie zgodził.

- To wymaga przygotowań. Zapomniałeś już? Poza tym musimy powiadomić organizację. To już wykracza poza nasze możliwości.

- Dziewczyna ma statek.

- Chcesz polecieć w kosmos obcą technologią z przedstawicielem niezidentyfikowanego gatunku? To, że wygląda jak Deirdre, nie znaczy, że nią jest. To polimorficzny organizm, grający na twoich uczuciach. Sparciały ci zmysły, żołnierzu.

- Mam to w dupie – burknąłem z energią małego dziecka. – Wyślij nas w kosmos na moje ryzyko. Ściągnę tu Fjollssfinna. Zyskasz lata wartościowych badań i próbek. Jak będzie trzeba, przywiozę tu ufoludka.

Lodowiec się zawahał. Oko rozbłysło pod krzaczastą brwią. Biurokracja trwa, wiedział to aż za dobrze. Żeby dostać środki na kolejną misję badawczą, musiałby stracić kolejne pięć, może osiem lat. Do tego był leciwy. Jeśli w tym życiu ma coś udowodnić światu to kiedy, jeśli nie teraz?

Ręce szefa spoczęły na moich ramionach.

- Statek stoi trzy poziomy niżej oraz dwa kilometry w głąb góry. W windzie wybierz kod 0305196. Dojedzie, gdzie trzeba – instruował szeptem. – Teraz otworzę właz. Następnie udam się zatelefonować do organizacji. Nie zauważyłem, że ukradłeś pierścień autoryzujący z mojego sejfu. – Wsunął mi błyskotkę do kieszeni. – Nie zauważę też jak nasze UFO wali cię przez łeb i targa za włosy prosto do statku. Zagraj to jak Stallone – poklepał mnie po ramieniu. – Powodzenia, przyjacielu.

Pewnie bym się popłakał, gdyby nie aldehydy i skok adrenaliny. Ledwie zniknął za uchylonym włazem, a przyłożyłem pierścień do konsoli autoryzującej. Szyba syknęła podciśnieniem, a tafla opadła. Dziewczyna nieśmiało opuściła klatkę. Opięte dżinsy w towarzystwie jedwabnej koszuli, zatkniętej za pas działały na naszą niekorzyść.

Chwyciłem ją za rękę.

- Musimy się spieszyć. Uderz mnie mocno w twarz.

- Co mówisz? – dopytała zdziwiona.

- Wal w ryj jak wrogą cywilizację! – wyklarowałem.

No i usłuchała.

Trzasnęła mną o szafę jak szmacianą lalką. Pociemniały padłem na wznak. Gdy próbowałem postawić się do pionu, ścisnęła koszulę za kołnierz i kołysząc biodrami, przeciągnęła mój zewłok przez środek laboratorium. W tej konfiguracji pokonaliśmy właz, a potem drzwi do windy.

- Kod, Vuko daj – zażądała, wskazując na panel dotykowy.

- Zero, trzy, zero, pięć, jeden, dziewięć, sześć.

Autoryzacja uzyskana. Moduł transferowy 3D aktywowany.

Machina ruszyła. Najpierw sunęliśmy w dół, a chwilę później ciąg pchnął metalowe pudło w bok. Ustrojstwo gnało takim pędem, że przykleiłem się do ściany, a zmiennokształtna Deirdre do mnie.

Alarm zawył równo z rozsuwającymi się drzwiami. Czerwone światła rozbłysły w akompaniamencie basowego dudnienia. Biegliśmy przez korytarz wykuty w litej skale, aż na drodze stanął kolejny właz. Przyłożyłem pierścień. Wpisałem kod.

Poszło.

Dziewczyna zachichotała i zaklaskała w dłonie. Coraz mniej przypominała moją Deirdre albo to ja coraz bardziej stawałem się Ulfem. Podbiegła do pordzewiałej puszkii, którą zwała statkiem. Pojazd prezentował się jak złożony z metalowych śmieci. Szyba z przodu, po bokach

podejrzane wloty, a z tyłu napęd niewiadomego pochodzenia. Nie na moją głowę. Gdy majstrowała przy szybie, odblokowałem pierścieniem właz ewakuacyjny. Skały zatrzęsły się niebezpiecznie, przenosząc drgania pod stopami. Uspokoilem się na widok pustego, nocnego nieba.

Dziewczyna zaczęła wykrzykiwać coś w obcym języku, co po tonie rozszyfrowałbym jako bluzgi. Rąbnęła pięścią w odznaczający się kawałek blachy. Nic się nie wydarzyło. Następnie ponowiła uderzenie obiema pięściami, pomagając sobie krzykiem.

Właz ustąpił.

- Chodź, chodź Vuko! – wołała, zachęcając ręką.

Miałem poczucie, że wchodzę do ujeżdżonego Poloneza, który bierze olej i kaszle na zakrętach, ale co ja tam wiem o podróżach kosmicznych.

Zajęliśmy czerwone fotele. Wnętrze odzwierciedlało scenografię filmu sci-fi z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych. Ciężkie, kwadratowe ekrany monochromatyczne, niezliczone lampki i przełączniki, wajchy i hebelki. Nie mogłem wyjść z podziwu dla pikowanego kokpitu, któremu brakowało tylko dzierganej serwety i pieska kiwającego głową.

Puszka została zamknięta i uszczelniona sykiem. Silnik zapalił od ręki. Lecę z babą w kosmos. Co może pójść nie tak?

- Trzymaj się, Vuko Ulf Nitj'sefni. Wracamy do domu – oznajmiła, nim z premedytacją dodała gazu.

Zamknąłem oczy.

Dostałem w twarz z otwartej dłoni.

- Budź się Vuko Ulf Nitj'sefni! Spadamy za szybko! Trzymaj ster! – instruowała, szarpiąc za koszulę.

- Jak to spadamy!?

Rzuciłem się do kontrolera. Szybka reakcja zminimalizowała turbulencje, ale na spokój miał przyjść jeszcze czas. Światła w kabinie przygasły, z układu kapła żelatyna, a za szybą gorzał czysty ogień. Nie pisałem się na śmierć w rozpalonej, kosmicznej puszcze. Dziewczyna wciskała losowe przyciski i kręciła manualną korbą. W końcu system stanął, a płomienie zastąpił biały dym. Uśmiechnęła się. Ja także wyszczerzyłem zęby z radości, że nie zostanę międzygwiazdowym szaszłykiem. Za wcześnie.

Rąbnęliśmy o ziemię.

Szczękę z podłogi pozbierałem bliżej nieokreśloną miarę czasu potem. Zdrętwiały mi zęby i pękł łuk brwiowy. Innych obrażeń nie wykryłem. Statek zdechł, a dziewczyna leżała nieprzytomna. Obróciłem ją na wznak. Wzdrygnąłem się na widok twarzy, prawdziwej twarzy. Zapadnięte policzki, wąskie paski zamiast warg i uszy opadające aż do obojczyków. Lekko rzecz ujmując, nie mój typ. Machnąłem ręką. Fjollssinn będzie się grubo tłumaczył.

Misiowym krokiem dotarłem do włazu. Był uchylony.

Wykopałem pogiętą blachę, ale zamiast zapierającej dech flory Wybrzeża Żagli zobaczyłem twierdzę. Tu skończyłem i tu zacznę. Lodowy Ogród nie przypominał już gotyckiej fantazji kreatywnego boga, a zwykły średniowieczny organizm, posadowiony na wulkanicznej skale i otoczony wybrakowanymi murami. Lista pytań rosła z każdą sekundą.

Z bramy wyszli w dziesięciu. Każdy ponadprzeciętnie chudy i wysoki, odziany w wytarte skóry. Każdy z dziwnym karabinem. Wyglądali, jakby nogi naciągnięto im na madejowym łożu. Spomiędzy nich wyszedł sprawca zamieszania.

- Witaj, Ulfie – powiedział, ledwie ukrywając uśmiech.

- Oto i on. Stwórca Lodowego Ogrodu we własnej osobie i... z własnym, ludzkim obliczem – rzuciłem szczerze uradowany. – Ponoć chciałeś się ze mną widzieć. Złapałem więc międzyplanetarne taxi i jestem.

Poklepałem kompana po ramieniu. Na ten gest dryblaszy zagulgotały jak indyki. Dziwny, gardłowy język z dużym prawdopodobieństwem nie pochodził z Midgaardu. Fjollssinn zdawał się rozumieć moje skonfundowanie. Wskazał im statek, z którego, gulgocząc równie intensywnie, próbowała wydostać się eks-Deirdre. Od razu ruszyli z odsieczą.

- Co to za operetka? Kto to jest? – wyszeptałem angielskim, korzystając z chwili samotności.

- Powiem krótko, a wyjaśnię później. Żadnych gwałtownych ruchów. Obejrzyj się.

Na szarady go naszło. Wyrząłem przez ramię.

Kawał czarnego złomu spoczywał na pobliskiej wysepce i groził. Wyglądał zupełnie jak blaszak, który mnie tu przywiózł, lecz o znacznie większych gabarytach. Prezentował się też równie martwo. Ze środka, niczym pajęczne nogi, wystawały przydymione rury, sięgające ziemi. Atmosfera Midgaardu nie przepuści żadnej elektronice, co nie wyjaśnia, jak udało się dziewczynie w miarę bezpiecznie mnie tu sprowadzić. Co więcej, nie potrafiłem odnaleźć w pamięci tej tajemniczej wysepki. Niebo też wyglądało jakoś inaczej.

- Sporo mnie ominęło, zdaje się – skwitowałem, widząc jak wracają indory.

Dziewczyna, lekko skołowana wyszła mi naprzeciw, a pozostali asekurowali oba jej biodra, prezentując giwery.

- Możesz Czynić? – zapytała.

- Nie sędzę.

- To zabijemy go za kłamstwo – wskazała na Fjollsfinna, a indory przeładowały broń. – A potem tamtego młodego i wszystkich po kolei.

- Ależ potrafi Czynić i to jak! – wtrącił Norweg. – Naprawi wasz statek, a mocą z uroczyska napelni ładownię po same brzegi ale... musi odpocząć. Nie da się Czynić na pusty żołądek i z rozbitą głowę, prawda Ulfie?

Co miałem odpowiedzieć? Scenariusz stawał się coraz bardziej porąbany, a zdaje się, że gram w tym przedstawieniu główną rolę.

- Zdecydowanie coś bym przekąsił.

- Acha – odparła po czym skinęła głową.

Pchnęli mnie naprzód.

Fjollsfinn idzie obok. Mijamy bramy, wchodzimy po schodach, pokonujemy trącące wilgocią korytarze i ulane łuki aż w końcu otwiera się przed nami miasto.

Patrzę, jakbym widział je pierwszy raz.

Norweg uśmiecha się do mieszkańców, zajętych codziennymi sprawami, ale i tak spoglądają z niepokojem. Nic dziwnego. Na murach i dachach naliczyłem ze trzydziestu indykowatych. Wygląda na to, że trawia Lodowy Ogród od środka jak nowotwór. Wchodzimy do twierdzy.

Windy nie ma.

Wszędzie prowadzą schody. Trzy poziomy wyżej docieramy do komnaty z powybijanymi oknami. Sadzają nas przy stole z czarnego drewna i wychodzą.

Fjollsfinn rozejrzał się asekuracyjnie, po czym przeszedł do rzeczy.

- Pojawili się znikąd i zaczęli siać spustoszenie. Dwa statki spadły z nieba – zaczął pospiesznie. – Sterroryzowali Lodowy Ogród. Pompami zbierali mgłę z uroczysk...

- Uroczyska się odnowiły? – rzuciłem z niedowierzaniem.

- Owszem. Filar na początku tylko obserwował. Przybyłem go wspomóc. Sytuacja nabrała tempa, gdy padły pompy, a statek stracił zasilanie. Obwinili nas za ten stan rzeczy. Filara wzięli w niewolę razem z kilkudziesięcioma innymi. Sporo naszych zginęło. Ktoś okrzyknął mnie Czyniącym – westchnął. – Zażądali bym naprawił pojazd, ale ja nie potrafię

już tego kontrolować, Ulfie. Pod naciskiem palnąłem, że jest jeden Czyniący, ale żyje daleko stąd i...

- Nie sądziłeś, że po mnie polecą.

Nie wiem, co bardziej wprawiło mnie w zdumienie. Potwierdzone istnienie wrogiej cywilizacji czy fakt, że Martwy Śnieg okazał się rozwiązaniem na chwilę. Kto zapanuje nad tym burdelem, skoro nawet lokalni bogowie sobie nie radzą? Moc znów jest do wzięcia, a chętnych jak zwykle nie brakuje.

Spojrzałem na skruszałego Fjollssinna.

- Nie prościej było im lecieć do siebie?

- Niebieski glob jest bliżej – powiedziała eks-Deirdre pełnymi zdaniami, stając w progu.
– Trzeba było nie pojawiać się w naszym kwadrancie.

- Jak to w waszym? Jak to pojawiać? – dopytywałem.

- Tak to. Planeta wyskoczyła na radarach i jesteście. Zasilisz statek, zapakujemy ładunek, a potem polecimy dalej. Tym się paramy. Łupimy kosmos.

- Niczego nie mam zamiaru zasilać.

- To będziesz patrzył jak czyścimy to zadupie ze wszystkiego co żyje, a potem i tak go zasilisz. Wybór należy do ciebie.

Na te słowa rzuciła mi przed nos talerz z jakąś papką i wyszła. Zakląłem pod nosem.

- Nie wyczuwałeś czegoś dziwnego ostatnimi czasy? Jakby wszystko uległo zmianie pomimo, że wciąż wygląda tak samo? – rzucił enigmatycznie.

- Oprócz twojego dawnego ja?

Nie dało się ukryć, że coś takiego miało miejsce. Straciłem umiejętności. Nanowektory wyparowały przeszło pół roku temu. Od tego zaczęło się moje tournée po monopolowych.

- Niebo nad planetą zmieniło się. Sądzę, że za sprawą Martwego Śniegu coś pogmatwało się w przestrzeni. Czy to możliwe, że dwa losowe kawałki kosmosu nałożyły się na siebie? Leciałeś tu znacznie krócej niż ostatnio, mam rację?

Miał. Co do jednego i drugiego mógł mieć rację, choć astrofizycy z nas żadni. Poczułem, że trzeba mi rakiji. I to nie kolorowego sikacza, sprzedawanego w turystycznych knajpach tylko tego krystalicznego destylatu spod lady od przydrożnej babuleńki w przewiewnej podomce. Kruk zakrakał.

- Już raz ocaliliśmy tę planetę – nachylił się do ucha Fjollssinn. – Filar czeka na pomoc. Stawka idzie też o Ziemię. Przecież nie poprzestaną na Midgaardzie.

Przyleciałem na emeryturę, perkele, a jak zwykle wsadziłem się w kabałę. Najgorsze jest to, że nie musiał mnie przekonywać. Łaknąłem Czynić jak dziecko łaknie zepsuć zabawkę, po to tylko, żeby zajrzeć co kryje w środku. Pieśń Midgaardu wzywała do siebie w snach i na jawie. Dobrnąłem do etapu, w którym nawet pijacki amok przestawał ją uciszać. Gdybym tu nie przybył, z pewnością strzeliłbym sobie w łeb.

Zatrzepotały skrzydła.

Kruk zakrakał.

Westchnąłem.

- Zatańczmy więc to zdradzieckie tango, przyjacielu – wsadziłem łychę papki do ust –
Zrobimy tak...

Zapakowali mnie na łódź. Właściwie to poszedłem dobrowolnie. Dziesięciu na rufie, dziesięciu na burcie, a pomiędzy indorami ja z dziewczyną. Giwery wszędzie. Postanowiłem nie sprawdzać, czy działają. To już nie ten sam świat. Kilka minut później stałem na kamienistym brzegu.

Statek zajmował połowę wysepki. To, co Fjollsfinn nazwał pompami, w rzeczywistości przypominało bardziej rozwinięte jelita. Pozostałą część lądu porastała soczyście zielona trawa, nad którą unosiła się mgła. Moja mgła. Inny świat. Magiczny dreszczyk podreptał radośnie po plecach. Przełknąłem ślinę.

- Do roboty, idź Czynić – powiedziała dziewczyna, popychając mnie w stronę uroczyska.

- Chcę zobaczyć swoich ludzi.

Wywróciła oczami. Na pstryknięcie palcami chwycili mnie za grzbiet i zostałem wprowadzony do środka. Nostromo to przy tym okręt zaawansowany technologicznie. Korbki, lampki i cały ten wałacy octem żel trzymał konstrukcję w kupie. Jak na upadek z kosmosu całkiem nieźle.

Manualnie otworzyli właz. Dwadzieścia łuf spojrzało między oczy kireneńskich wojowników. Filar od razu wyskoczył spomiędzy nich. Nic się nie zmienił, no może nieco utył. Teraz jednak przeżywał szok. Dwa razy przecierał twarz, nim się uśmiechnął.

- Nitj'sefni, czy to ty?

Nie pytałem o zgodę. Wpadliśmy sobie w ramiona jak para stęsknionych kochanków. Reszta podchwyciła radosny motyw i zaczęła skandować moje imię.

- Głośniej! Głośniej, mówię! – zachęcałem.

Wsunąłem młodemu do spodni naostrzony podarek Fjollsfinna. Piraci nie piraci, zadzierać ze stwórcą Lodowego Ogrodu nie powinni.

- Jutro o brzasku tu powrócę. Znajdź sposób by sprowokować bitkę. Udają groźnych, ale dacie im radę. Musicie się stąd wydostać najpóźniej o świcie – wyszeptałem, nim oderwali nas od siebie.

Filar potaknął. Musiało wystarczyć.

Wystawili mnie przed rurociąg.

- To teraz do roboty – kontynuowała kosmiczna piratka.

- Myślisz, że to takie hop siup? Czynienie to święty proces.

Spojrzała z niezrozumieniem.

- Dziś przygotuję swoje naczynie – zakręciłem rękami koło jak duchowy guru. – Jutro opróżnię dla was całe to poletko.

Pogulgotali między sobą, zerkając ukradkiem. Ewidentnie zdurnieli. Nie wiem, co jej tłumaczyli, ale poskutkowało.

- Byle szybko, Ulf Nitj'sefni. Inaczej w łeb i do morza.

Wzruszyłem ramionami na tę zmarszczoną brew. Przecież nie lecieli taki kawał, żeby mnie tu pogrzebać. Przynajmniej nie zanim osiągną cel. Podstawy strategii. Traciłem do nich szacunek. Patrzyli, jak poddaję rury wnikliwej inspekcji. Zostały stworzone z materii organicznej.

W dotyku przypominały łysego szczura, a środek gęsto pokryty był mackowatymi wypustkami. Gigantyczna pijawka czy inny tasiemiec.

Kruk zakrakał.

Jeden z indorów strzelił do kołującego ptaka. Dziewczyna zaczęła wydzierać się na kompana za przejaw zbędnej agresji. Czarne pióro spiralizowało z nieba wprost na moje ramię. Statek na ułamek sekundy odzyskał wigor, a potem znowu zdechł. Macki wewnątrz rury nagięły się w moją stronę.

Cisza.

Zadrżała mi warga. Wiedziałem co robić z tym błogosławieństwem. Stanąłem na środku uroczyńska. Mgła ochoczo zatańczyła wokół pasa i dłoni. Poczułem się, nie przymierzając, jak

Superman. Nie chciałem przesadzić. Nie dziś. Uszczknąłem tylko troszkę miodku, choć zagarnąć pragnąłem wszystko.

Samokontrola, żołnierzu.

Zasilanie padło.

- Przyłóż się albo odwiedzimy twój niebieski glob! – ryknęła siarczyście eks-Deirdre.

- Przygotowałem wszystko. Jutro dostaniecie, co wam się należy.

Kruk zakrakał.

Za wcześniej.

Trwała jeszcze noc, gdy z powrotem wrzucili mnie na uroczysko. Grałem na zwłokę. Mógłbym ich tu przerzedzić jakąś wymyślną Pieśnią, ale pewności, czy podołam dwudziestu łufom nie miałem, a z dziurawym gardłem nie zaśpiewam. Wyciągałem więc ręce ku niebu, tupiałem nogami i kłałem pod nosem. Rytuał jak się patrzy.

Nie uwierzyli. Skończyło się tak, że dostałem po mordzie.

- Dawać tu tego młodego. Będzie tracił kończynę za każdy wybryk Vuko Ulf Nitj'sefni – zarządziła dziewczyna.

Zmotywowała mnie.

Skierowałem szczurzą rurę na uroczysko. Transfer ruszył bez zachęty. Macki zasysały mgłę do wnętrza statku, który momentalnie ożył. Światelka zamigotały. Buchnęła para. Monotonowe dźwięki... wymieszały się z krzykiem. Giwery wypaliły.

Zaczęła się jatka.

Na komendę piętnastka gulgoczących piratów wpadła do środka niczym SWAT, zostawiając mnie w kameralnym gronie. Między łopatkami poczułem lufę.

- Szybciej Nitj'sefni – wycedziła przez zęby.

Stali nade mną jak psy, a moc płynęła. Sytuacja na statku wyraźnie się zaogniała. Gdy kawał blachy potoczył się po kamieniach, na ułamek sekundy stracili czujność. Obrócili głowy w stronę pędzącego metalu.

Dosyć tego dobrego.

Wycelowałem tasiemca prosto w agresorów. Nie wiem, czy liczyłem, że zdmuchnie ich magia czy, że umrą ze śmiechu. Oprócz tego, że się wściekli, nie wydarzyło się nic. Wyszedłem z prawy.

Kliknęły spusty.

Broń nie wypaliła, ale na wszelki wypadek wycofałem się na środek uroczyska. Klikali raz za razem, ale najwyraźniej magia Midgaardu skutecznie blokowała nieczne zamiary. Gdy w końcu zdecydowali się ruszyć z pięściami, klasnąłem w dłonie, wizualizując w głowie las.

Cała piątka momentalnie zeszywniała. Dziewczyna z niepokojem rozejrzała się po zastygłych kompanach. Karabin upadł na kamienie, a warga zadrżała jej błagalnie.

- Nie... – wycodziła przez sztywniejącą szczękę.

Mgła wypełzła z rury, zatańczyła wokół ciał i zgodnie z moją intencją zmaterializowała się jako płatanina gałązek. Cienkie witki szczelnie owijały nogi, ręce aż zdusiły blednącą dziewczynę za szyję.

Wtedy znów ujrzałem Deirdre.

- Vuko, pomóż mi – mamała, roniąc przy tym łzy zmieszane z czarnym tuszem do rzęs.

Za stary jestem na takie rzewne numery.

Pstryknąłem palcami.

Gałązki oplótły ją aż po czubek głowy, a potem zwały się w jeden gruby pień z pozostałymi pięcioma drzewkami. Bonsai na miarę naszych czasów.

Zagarnąłem karabin i pobiegłem do wraku.

Wyglądało na to, że zwyciężamy. Filar tłukł po mordzie dogorywającego pirata. Dwóch Kirenenów z braku laku dzieliło się półprzytomnym chudym. Pozostali trzymali drzwi, za które jakimś cudem udało się wsadzić większość tego kosmicznego elementu. Pobieźnie przeanalizowałem liczbę stojących do liczby leżących. Szkoda czasu.

- Filar! Wypad ze statku! Uchodź kto żyw! – zakomunikowałem.

Wróciłem we mgłę. Zamiast w stronę uroczyska, skierowałem rurę na statek, ale ilość magii albo poziom moich umiejętności, któż to wie, nie pozwalały na żaden spektakularny manewr. Intuicja nakazywała przepuścić magię przez coś bardziej bionicznie kalorycznego. W tym czasie pojawili się już moi wojownicy.

- Łapać za rury i mi je tu przytaszczyć! – zarządziłem.

Cztery twory wylądowały u moich stóp. Zdjąłem buty i rozerwałem rękawy koszuli. Do każdej z dziur włożyłem po kończynie. Macki przyssały się do skóry jakby spragnione czułości.

- Czy wiesz, co robisz Ulfie? – zapytał zaniepokojony Filar.

Piraci wylali się przez główny właz.

- Wsiadać do łodzi i płynąć! – nakazałem stanowczo.

Nie dyskutowali. Wziąłem głęboki wdech. Wyobraziłem sobie las, a potem króla lasu. Zielonego dyktatora pieprzonego, bagiennego olsu. Leszego, złodupca premium turbo pro max, szarpiącego niegodnych jak kundel szynkę.

Kruk usiadł mi na ramieniu.

- W samą porę – stwierdziłem, unosząc kącik ust.

Poszło. Ocean midgaardzkich nanowektorów przefiltrował się przez mój uległy czerep. Mgła okleiła statek i biegnących do łodzi kosmicznych łupieżców. Konstrukcja ożyła. Metalowe elementy oddzielały się od siebie i przemieszczały na nowe miejsca. Z wnętrza wypadły dziesiątki pnączy, ociekających żelazem. Owinęły gulgoczących wojowników i rozerwały ich torsy na dwoje. Całe szczęście łódka zdołała już odpłynąć poza zasięg potwora. Monstrum nabierało kształtów. Blachy okryły się naroślami niczym z dna oceanu. Po chwili mój transformers wyglądał jak prawdziwy król metalowego lasu z czerwonymi żarówkami w dziurawych oczodołach i żebrami powyginanymi z wręg. Poczułem się potężny. Znow poczułem się dowódcą Nitj'sefnaar.

Kruk zakrakał.

Padłem na kolana równo ze swoim potworem, który rozsypał się na blaszane fragmenty. Macki puściły. System zdechł. Mgła zniknęła. Wszystko okryło się bielą. Koniec Pieśni.

- Zostało jeszcze kilku w Lodowym Ogrodzie – oznajmiłem krukowi, ale i on obrócił się w światło.

Gdy otworzyłem oczy, a raczej, gdy pozwolono mi znów widzieć, zaśmiałem się pod nosem. Przeczuwałem taki scenariusz.

Plaża. Teraz tylko czekać na wóz z osiołkiem i cygaro.

Wyciągnąłem się na otoczkach. Szum morza zatopionego we mgle wcale mnie nie martwił. Lubilem mgłę i tę plażę. Po kamieniach poniósł się w końcu odgłos kroków.

Kruczy Cię przyszedł pieszo. Bez osła i bez wozu taskającego rzeczy, które Czynią. Zasiadł na kamieniach, a wzrok utopił w morskiej pianie.

- Mam nieodparte wrażenie, że chciałeś mnie widzieć – zagałem pierwszy.
- Sam chciałeś się tu znaleźć. Tylko dopomogliśmy.
- Wasz Martwy Śnieg chyba coś namieszał. Niezły element się tu kręcił.
- Miał namieszać to i zrobił, co do niego należy – odparł, wyciągnawszy zza pazuchy czerwone jabłko.

- I co teraz? Kolejny reset do ustawień fabrycznych?

- To zależy.
- Od czego?
- Kim zdecydujesz się zostać.
- Skończ z tymi rebusami i gadaj w czym rzecz.
- Midgaard, jak go nazywasz, cię uznał.
- Co to znaczy? Umarłem?
- Możesz jeszcze coś z tym zrobić. Weź – oznajmił, wyciągając ku mnie owoc.
Wziąłem jabłko i odruchowo potarłem o koszulę. Nie trafiły do mnie te słowa.
- Chcesz umrzeć?
- Dopiero przyleciałem. Sądziłem, że trochę tu odpocznę, a nie od razu pójść do piachu
– zmarszczyłem brwi.
- Musisz umrzeć.
- Skoro muszę, to po co te durne podchody?
Ugryzłem jabłko.
- Midgaard cię uznał. Jesteś godzien. Podaj imię, a przypieczętujesz swój los.
Rozważnie.

Zarząłem z przepony. Wstałem, strzeliłem karkiem, a na deser wykonałem kilka pajacyków. Teraz krew powinna dopłynąć do mózgu w ilości takiej, jak trzeba.

Kruczy Cień nadal czekał.

- Ty poważnie mówisz? – zapytałem.
- Imię. Jedno sprowadzi cię do Lodowego Ogrodu byś żył i umarł wśród mieszkańców Midgaardu, drugie na twój niebieski glob bez możliwości powrotu tutaj, a trzecie uczyni z ciebie mojego adepta. Zostałeś nagrodzony wyborem.

Spojrzałem na owoc. Miejsce po ugryzieniu zbrązowiało. Sok przestał kapać, a pestki wyglądały jak pestki. Parsknąłem w duchu. Co ja robię? Próbuję doszukać się sensu życia w kawałku owocu. Potarłem twarz. Potarłem czoło. Potarłbym teraz każdy kamień na tej plaży byle wybrać właściwie. Byle objawił się džinn i powiedział *go for it!*

Muszę coś odpowiedzieć, więc niech to będzie pierwsze co mi przyjdzie na myśl. Ponoć w sytuacji bez wyjścia tak trzeba.

Abrakadabra, Ziemia, Lodowiec...

- Jestem Nitj'sefni, Nocny Wędrowiec – oznajmiłem.
- Dobrze.

- Co wylosowałem?

- Wiesz co.

Z morza wyjechał wóz zaprzężony w przemoczonego osiołka.

- I co teraz? Lecimy gdzieś? Sprzedamy kilka rzeczy, które Czynią na bazarku? Wywołam swój pierwszy Martwy Śnieg? – Połaskotałem powietrze.

- Obejrzymy twój pogrzeb.